Jerzy Surdykowski[1], *Nic nowego, niestety*, „Aneks", 1985, nr 37, s. 26–38.
Hasła przedmiotowe: opozycja, plan polityczny opozycji, Solidarność, stan wojenny.

Andrzej Walicki[2] proponuje porzucenie przez opozycję prób uzyskania wpływu na sprawowanie władzy, a nawet wyrzeczenie się myśli o wywieraniu na tę władzę jakiejkolwiek pozasystemowej presji. Ma to być nie tylko nierealne, ale szkodliwe, bo osaczona i wyalienowana władza wcześniej czy później sięgnie po mocne środki, czego na własnej skórze nauczyliśmy się 13 grudnia 1981 roku[3]. Tak więc wedle Walickiego opozycja, wyrzekając się samej opozycyjności, winna zająć miejsce w obrębie systemu i jego instytucji, udzielając rządzącej ekipie politycznego poparcia, lecz w tak mądry i przewidujący sposób, by wspierać w niej lepszych, bardziej liberalnych towarzyszy sposobniejszych do roli rzeczników lokalnego interesu Polaków wobec kremlowskiej centrali. Działanie opozycyjne trzeba więc porzucić na rzecz działania manipulacyjnego, albo też wewnątrzsystemowa manipulacja ma być jedyną sensowną i przynoszącą Polsce polityczny profit formą opozycyjności. Błądziła więc „Solidarność" idąc konfrontacyjnym kursem w stronę „Samorządnej Rzeczpospolitej" miast dążyć do zwycięstwa rozsądnych pragmatyków nad „twardymi" we władzach PZPR. Teraz szanse realizacji takiego „wariantu manipulacyjnego" są zaprzepaszczone na długie lata, choć nadal pozostaje on jedynym dającym się użyć kluczem do pozytywnych przemian w PRL. Winę za klęskę, za utratę szans i nadziei ponosi opozycyjna inteligencja, ponieważ nie potrafiła skłonić „Solidarności" do obrania wspierającego partyjnych pragmatyków kursu, a co więcej, narzucała nowemu związkowi swe nieodpowiedzialne teorie polityczne o jawnym, bądź zakamuflowanym konfrontacyjnym ostrzu; dość wymienić (za Walickim) jako niebezpieczne mrzonki gorącogłowych inteligentów koncepcje „wymuszonych na władzy zmian", „Samorządnej Rzeczpospolitej" czy „samoograniczającej się rewolucji".

Tyle najkrótszego streszczenia. Radzę nie lekceważyć tych poglądów, choć sam ich nie podzielam. Bowiem im dalej od 13 grudnia 1981 roku, tym więcej ludzi – mniej lub bardziej otwarcie – przychylnych jest obiegowym sądom, że „Solidarność" „poszła za daleko", choć towarzyszy temu zarówno brak racjonalnego uzasadnienia, jak jednoczesna, głębsza ni kiedykolwiek, odraza do „czerwonego". Takie są między innymi niszczące skutki czasu, erozja rozsądku przez rozgoryczenie.

[1] Jerzy Surdykowski (ur. 1939) – dziennikarz publicysta i działacz opozycji demokratycznej w PRL.
[2] Andrzej Walicki (ur. 1930) – filozof i historyk idei.
[3] Nawiązanie do daty wprowadzenia stanu wojennego w PRL.

Waldemar Kuczyński[4] polemizując w tym samym numerze *Aneksu* z Walickim, a zwłaszcza z jego krytyką „Solidarności" i „przysolidarnościowej" inteligencji, pisze z właściwą sobie uprzejmością, że wystąpienie swego oponenta uważa za cenne, bo „wprowadza do debat opozycyjnych tematy i wątki nieobecne". I tutaj, jak sądzę, znajduje się właściwy i raczej pominięty przez dotychczasowych polemistów punkt wyjścia dla programowej dyskusji przez Walickiego rozpoczętej. Bowiem, niestety, te właśnie „tematy i wątki" są od dawna w naszym myśleniu i działaniu obecne, a co więcej, sprawdzone przez praktykę ze skutkiem dość marnym. Ta zaś powinna być sprawdzianem ostatecznym i bezwzględnym, o ile interesują nas programy, nie zaś mity. Dla jasności jeszcze raz zaznaczam, że chodzi mi o przed stawione przez Walickiego propozycje działania, nie zaś o samą krytykę „Solidarności". W tej ostatniej starczy miejsca i dla kilku Holzerów[5], choć mam nadzieję, że bardziej krytycznych. Interesuje mnie tu przede wszystkim odpowiedź na pytanie „co robić?", czy możliwe i skuteczne byłoby porzucenie działań opozycyjnych na rzecz manipulacyjnych?

Społeczeństwo mamy pojętne, od razu zrozumiało, o co w tym systemie chodzi i gdzie znajdują się dźwignie władzy. Model opozycyjnego oporu i nacisku na rząd przetrwał niewiele dłużej niż do dramatycznych wyborów w 1947 roku. Potem – wyjąwszy tylko krótką noc stalinizmu, kiedy ani opozycja, ani manipulacja nie były możliwe – mamy do czynienia praktycznie tylko z zalecanym przez Walickiego manipulacyjnym oddziaływaniem na rządzących, wspieraniem „pragmatyków" przeciw „twardzielom", wykorzystaniem wstrząsów i protestów nie dla rozbijania systemu, lecz dla usadowienia na szczycie tej wymarzonej, „lepszej" ekipy komunistów. Aż do sierpnia 1980, kiedy wyczerpała się społeczna cierpliwość. No, bo skutki tych chwalebnych skądinąd usiłowań okazały się nad wyraz mizerne. Władysław Gomułka[6], jako ten „lepszy" – ba, ukochany przez naród – rychło objawił się w skórze twardogłowca i dogmatyka, zaś „młodzi sekretarze" i inni rewizjoniści usiłujący manipulować październikową odnową w interesie demokracji, liberalizacji i czego tam jeszcze, sami zostali bardzo szybko wymanipulowani przez tow. Wiesława, którego dopiero co wynieśli na partyjny tron. Ta smutna prawda bardzo długo zresztą nie docierała do świadomości społeczeństwa poza kręgami intelektualnymi, dla których kresem październikowych nadziei była likwidacja *Po prostu* i odrzucenie projektu reformy gospodarczej. Uporczywy mit „dobrego Gomułki" był przecież tworem tej łatwowiernej świadomości przychylnej rewizjonistom, skłonnej widzieć w zmianach na szczycie, likwidacji stalinowskich okropieństw i rozwiązaniu kołchozów całość uzdrowicielskiej

[4] Waldemar Kuczyński (ur. 1939) – dziennikarz. Współpracownik opozycji demokratycznej, współzałożyciel TKN w 1978, uczestnik strajków sierpniowych 1980, w stanie wojennym internowany. Od 1982 na emigracji.

[5] Jerzy Holzer (1930–2015) – historyk i politolog, współpracownik opozycji demokratycznej w PRL, w stanie wojennym internowany.

[6] Władysław Gomułka (1905–1982) – działacz komunistyczny, I sekretarz KC PPR w latach 1943–1948 oraz I sekretarz KC PZPR w latach 1956–1970.

recepty; nawet robotnicy Poznania, choć był to najkrwawszy i najgwałtowniejszy protest w historii powojennej, nie żądali utworzenia wolnych związków, bądź jakichkolwiek instytucji pozasystemowych.

Podobnie w 1968 roku, pomimo gorzkich doświadczeń zaprzepaszczonego Października. Demonstrujący studenci skandowali: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka![7]", mimo iż nie bardzo było widać w Biurze Politycznym kandydata do tej roli. W ostatnim okresie panowania Gomułki, po Marcu i Praskiej Wiośnie, manipulatorskie nadzieje odżyły w postaci wiary w naturalną zmianę pokoleń, mającą wynieść do władzy po sklerotycznym „Wiesławie" pragmatyczne „pokolenie zetempowców". Nawet powtarzano nazwiska, które należy poprzeć w razie czego: Olszowski[8], Tejchma[9], Kociołek[10]... Przy najbliższej okazji, jaka się pojawiła wraz z przelewaną krwią protestujących robotników Wybrzeża, w roli oświeconego pragmatyka wystąpił „dobry gospodarz" z Katowic, któremu niemała część społeczeństwa udzieliła poparcia może już nie w nadziei na „socjalizm o ludzkim obliczu", ale choćby na liberalizację, przyzwoicie funkcjonującą gospodarkę i lepsze zarobki. Gdy po paru latach zafundowanej za pożyczone pieniądze inwestycyjnej euforii okazało się, że Gierek[11] jest tak samo marnym tworem aparatu jak jego poprzednicy, powiadano na przeróżnych „czerwonych kanapach": „Poczekajcie, wkrótce Stefan zastąpi Edka, będzie lepiej". Pamiętam jeszcze ostatni chyba akt tych manipulacyjnych nadziei, kiedy przekazywano z ust do ust, że wprawdzie trzeba iść na wiece potępiające „radomskich warchołów", ale pod hasłem poparcia tylko dla Gierka, nie dla Jaroszewicza[12].

No i co? Jeszcze mało?

O ile pamiętam, ostatni raz w PRL spontanicznie śpiewała „Międzynarodówkę" protestująca ulica radomska w 1976 roku. W cztery lata później, podczas sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej, kiedy wieczorem głośniki przekazywały transmisję z plenum KC, na którym właśnie miała dokonać się oczekiwana liberalizacja i zmiana na szczycie (nastąpiła ona zresztą dopiero w pierwszych dniach września), robotnicza publiczność równie spontanicznie powstała z miejsc i zagłuszyła śpiewany przez towarzyszy proletariacki hymn „Mazurkiem Dąbrowskiego". Nic dodać, nic ująć. A

[7] Alexander Dubček (1921–1992) – czechosłowacki polityk, w latach 1968–1969 I sekretarz Komunistycznej Partii Czechosłowacji, inicjator tzw. „praskiej wiosny". Po interwencji wojsk Układu Warszawskiego odsunięty od stanowisk.
[8] Stefan Olszowski (ur. 1931) – działacz komunistyczny, minister spraw zagranicznych PRL w latach 1971–1976 i 1982–1985.
[9] Józef Tejchma (ur. 1927) – działacz komunistyczny, wicepremier PRL w latach 1972–1979. W latach 80. Ambasador PRL w Szwajcarii, Grecji i na Cyprze.
[10] Stanisław Kociołek (1933–2015) – działacz komunistyczny, wicepremier PRL w 1970, uznany za współodpowiedzialnego masakry w grudniu 1970.
[11] Edward Gierek (1913–2001) – działacz komunistyczny, I sekretarz KC PZPR w latach 1970–1980.
[12] Piotr Jaroszewicz (1909–1992) – działacz komunistyczny, generał, wicepremier PRL w latach 1952–1970, premier PRL w latach 1970–1980.

przecież ci sami ludzie potrafili ściągnąć z mównicy faceta usiłującego przypomnieć Wilno i Lwów albo popyskować na sojusze. I to jest właśnie „samoograniczająca się rewolucja" z jej specyfiką i z jej gorzkimi korzeniami i nie trzeba było – jak pisze w swej polemice Kuczyński – „ładnej intelektualistki", aby to nazwać; „samoograniczanie się" było oczywiste dla każdego, kto poznał tych ludzi i towarzyszył ich losom.

„Solidarność" nie określiła się nigdy – wyjąwszy znane ekstremistyczne wygłupy – jako ruch antykomunistyczny, ale od początku, instynktownie, odwróciła się bokiem do komunizmu, pozostawiła komunistyczną partię jako zło konieczne, którego nie zamierza już reformować, tylko tolerować. Nie oceniam w tej chwili, czy dobrze się stało, czy źle, czy politycznie słusznie, czy głupio; pragnę tylko wykazać, że taka postawa przy kolejnej, którejś tam, „odnowie" musiała się pojawić, jako skutek doświadczeń z kolejnymi „lepszymi" ekipami odsłaniającymi wkrótce po okrzepnięciu swe prawdziwe oblicze. Nie narzucili tej postawy stoczni intelektualiści z KSS „KOR", nie przyniósł jej pod sutanną ksiądz Jankowski[13]; to tylko polski robotnik, polski inteligent zrozumiał, że w tej grze o „lepszych", jaką od ćwierćwiecza uprawiał, nie można liczyć na godne uwagi wygrane, można tylko być pewnym daremnego upływu krwi, czasu i sensu. Dla tego postanowił zachować się inaczej i uznał za bliskie poglądy tych, którzy mu taką postawę zaproponowali. Ponieważ doświadczenie polskie jest tylko najbardziej zaawansowanym i rozwiniętym doświadczeniem bloku, można spodziewać się podobnego samookreślenia protestujących mas i gdzie indziej. To zaś, co u nas przyjdzie po „Solidarności", te nie jest trudne do przewidzenia. Tak, ze wszystkimi konsekwencjami, jakie z perspektywy profesora Walickiego, a nawet mojej, wydają się dziś okrutne. Jest to po prostu cena, jaką wszyscy – partyjni, bezpartyjni, komuniści i antykomuniści – będziemy musieli zapłacić za tak długotrwałe zablokowanie rozsądniejszych i bardziej spokojnych dróg reformy. Nie straszę, przypominam tylko procesy, jakie już nie raz miały miejsce w historii, więc dlaczego to podupadające imperium miałoby być wyjątkiem?

Przyznaję, że nie od razu zrozumiałem to dramatyczne przesunięcie, a może raczej rozumując pragmatycznie lecz naiwnie, przez długie miesiące miałem nadzieję, że rozbudzona energia mas skieruje się w starą manipulacyjną ścieżkę przynosząc na reszcie znaczące efekty. Wszak Sierpień[14] stworzył warunki dla powodzenia koncepcji rodem jeszcze sprzed października 56[15], dla połączenia presji niezależnego ruchu społecznego i wewnątrzpartyjnego nacisku przebudzonych „dołów", która zmusi „górę" do pójścia drogą reform. Partyjne „doły" zaczęły burzyć się dość długo jeszcze przed Sierpniem; sam w 1979 roku wysłałem do właściwego komitetu gorzki ostrzegawczy memoriał, którego kopię znalazłem potem na dnie szuflady i użyłem zamiast wstępu do

[13] Henryk Jankowski (1936–2010) – ksiądz katolicki, kapelan „Solidarności".
[14] Nawiązanie do strajków z sierpnia 1980.
[15] Październik 1956 – wydarzenia polityczne, które zapoczątkowały złagodzenie systemu w PRL i odejście od stalinowskiego terroru.

Notatek gdańskich[16]. Wiem jednak, że nie był on ani jedyny, ani nawet najostrzejszy. Moje nadzieje wiązałem też z przekonaniem tak oczywistym, że powinno było ono być podzielane nawet przez ludzi całkowicie do ustroju zniechęconych, lecz choć cokolwiek wiedzących o jego mechanizmach: bez reformatorskich zmian na szczycie partii ostry konflikt między nią a „Solidarnością" będzie nieuchronny, a odwołanie się przez partyjne kierownictwo do mocnych środków wielce prawdopodobne.

To, co powiem za chwilę, z dzisiejszej perspektywy jest śmieszne, ale w owym gorącym czasie było właściwe takim jak ja „spóźnionym rewizjonistom" i ich manipulatorskiej koncepcji, którą dziś chce odgrzać Walicki: nie czekając na zakończenie sierpniowego strajku, wróciłem do Krakowa, lecz nie po to, by wesprzeć już strajkujących robotników Nowej Huty, lecz po to, by doprowadzić do uchwalenia przez moją Podstawową Organizację Partyjną rezolucji popierającej gdańskie postulaty i domagającej się zwołania nadzwyczajnego zjazdu PZPR. To wydawało mi się wówczas najważniejsze! Potem, przez wiele miesięcy, już jako wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, redaktor regionalnego pisma „Solidarności" (*Wiadomości Krakowskie*) i członek władz partyjnego stowarzyszenia „Kuźnica", będącego jednym z siedlisk reformatorów w PZPR (rozwiązanego w 1982 roku), odbywałem mnóstwo rozmów i publicznych spotkań – by nie wspomnieć o pisaniu tekstów – mających skłonić ludzi „Solidarności" do takiego właśnie manipulacyjnego poparcia ruchu odnowy w PZPR. „Jeśli nawet partia się wam nie podoba, jeśli macie jak najgorsze doświadczenia z komunizmem, to we własnym i naszym wspólnym interesie powinniście poprzeć «poziomy» i całą odnowę wewnątrzpartyjną, bo jedyną szansą utrzymania po sierpniowych przemian w Polsce jest posadzenie przy dźwigniach władzy przychylniejszych tym zmianom ludzi" - tłumaczyłem. A więc bezpartyjni członkowie „Solidarności" nie powinni wywierać na swych partyjnych kolegów moralnej presji skłaniającej ich do pozbycia się czerwonej legitymacji, lecz przeciwnie, powinni umacniać ich a jednocześnie uzależniać od siebie. Nie miał racji w swym ówczesnym liście otwartym skierowanym do członków PZPR Jan Józef Lipski[17], nawołując ich do zajęcia po stawy „betonowej" jako wiarygodnej wobec Moskwy, „Solidarności" przypisując równocześnie zadanie wyłuskiwania kolejnych dziedzin życia społecznego. Taka strategia prowadzić musiała tylko do zastąpienia interwencji zewnętrznej – wewnętrzną. Reakcją, której dziś się nie dziwię, ale którą – i nie bez pewnej racji – miałem wówczas za dowód politycznej głupoty, była niechętna obojętność. Obojętność zarówno robotniczych działaczy, jak inteligenckich doradców – zarówno tych z Kościoła, jak z KOR-u. Przyznam, że z największym jeszcze zrozumieniem spotkałem się w Poznańskiem, może ze względu na zdroworozsądkowe,

[16] Wydawnictwo Aneks, Londyn 1983, [przyp. red.].
[17] Jan Józef Lipski (1926–1991) – polski literat. W czasie II wojny światowej członek AK. Współpracownik opozycji demokratycznej w PRL, współzałożyciel KOR, działacz „Solidarności".

pragmatyczne tradycje tego regionu. Generalnie jednak dominowała postawa, którą zwięźle określił jeden z moich robotniczych rozmówców: „niech sobie partyjni robią, co chcą, nas to mało obchodzi, my żądamy tego, co się nam należy". Spektakularne wyczyny partyjnego „odnówstwa" cieszyły się – owszem – rozgłosem, ale mało kto poza partią traktował poważnie propozycję polityczną, jaka za nimi stała. Tym więcej, że na szczytach partii – tak skrupulatnie wyczyszczonych z ciekawszych indywidualności przez system negatywnej selekcji – nie widać było osób godnych poparcia. Nawet Tadeusz Fiszbach[18], którego do dziś cenię, brany już przez niektórych za „polskiego Dubczeka" chyba dlatego tylko, że potrafił się w Gdańsku przyzwoicie dogadywać z Wałęsą i swoimi „poziomami", okazał się na koniec tym, kim był: uczciwym urzędnikiem powiatowego szczebla. Odpływ z partii najlepszych ludzi po kolejnych dramatach „polskich miesięcy" uczyniły z niej królestwo miernoty. Za miarę degrengolady niech służy fakt, i wiosną 1981 roku jako protektor „poziomów" wypłynął – pożal się Boże – towarzysz Andrzej Werblan[19]. Marks powiadał, że jeśli historia się powtarza, to jako farsa. I miał rację.

Po przegranym – a inaczej być nie mogło – zjeździe partii można się było już tylko spierać o termin i formę siłowego rozwiązania. Nawet gdyby zjazdowe uchwały „Solidarności" nie poszły tak daleko.

Tu dochodzimy do sedna naszych rozważań nad programową propozycją profesora Andrzeja Walickiego. Czy to, co grono moich politycznych przyjaciół proponowało społeczeństwu i „Solidarności" jako strategię posierpniowej odnowy, było nie mądre? Ale skądże, było najsłuszniejsze, podobnie jak propozycja Walickiego, mogło posierpniową odnowę uratować. Czy obojętność „Solidarności" wobec tego, co działo się w partii, nie była dowodem politycznej głupoty? Oczywiście. A przynajmniej oznaczała ona odmowę skorzystania z jedynej jako tako realnej – choć bynajmniej nie gwarantowanej – szansy ocalenia Sierpnia.

I szansę tę zaprzepaszczono. Ale zaprzepaszczone zostały równie szanse Października, Grudnia i wszystkich nienazwanych momentów, kiedy społeczeństwo – a przynajmniej znaczące jego grupy – udzielało poparcia tym, którzy mieli być nareszcie tymi oczekiwanymi „lepszymi". A to już powinno dać coś do myślenia.

Historia, niby droga pełna kamieni, skorup i śmiecia, usłana jest szczątkami koncepcji, które kiedyś stwarzały historyczną szansę, były zbawienne, słuszne i na czasie, za którymi stały jakieś siły społeczne, których ze świętym ogniem w oczach bronili jacyś kandydaci na przywódców. Jednak szansa nie została wykorzystana, czas im przestał sprzyjać, albo ościenne mocarstwa, albo warunki społeczne uległy niedostrzegalnym dla orędowników zmianom, a może ludzie nie potrafili im sprostać;

[18] Tadeusz Fiszbach (ur. 1935) – działacz komunistyczny, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku w latach 1975–1982.
[19] Andrzej Werblan (ur. 1924) – historyk i działacz komunistyczny, wicemarszałek sejmu PRL w latach 1971–1982.

dość, że koncepcje owe przemijały bez spożytkowania i bez sensu. Nawet wtedy, gdy nadal zachowały swą teoretyczną słuszność, niby nauki niesłuchanych już przez lud proroków.

Mój i moich politycznych przyjaciół błąd polegał na tym, że usiłowaliśmy przekonać ludzi do koncepcji teoretycznie słusznych, lecz społecznie już martwych. Takich, do których nadal usiłuje nas przekonywać Andrzej Walicki. Żeby to zrozumieć trzeba było osobiście przejść przez to wszystko, stać z tymi ludźmi twarzą w twarz, wsłuchiwać się w społeczny rezonans naszych spóźnionych manifestów. A były to nie tak dawno koncepcje społecznie żywe, i to jak bardzo. Tylko, że tymczasem... To żadna pociecha, że mylił się również Jan Józef Lipski, tylko w przeciwny sposób.

Oczywiście Polska Jaruzelskiego[20] o ile jest lepsza od Polski Bieruta. O ile wolimy naszego generała w fotelu I sekretarza od – powiedzmy – Stanisława Kociołka czy Albina Siwaka. Każda nowa ekipa, która przychodzi po przewrocie na szczycie, realizuje wprawdzie nie program ostatniej „odnowy", ale jednak program, jaki zapewne uratowałby ekipę poprzednią. Gdyby Gomułka – tak jak Gierek – odkręcił kran z kredytami i inwestycyjnym ruchem „drugiej Polski", pewnie utrzymałby się na stołku. Gdyby Gierek – jak Jaruzelski – wdał się w ograniczoną nawet reformę gospodarczą, zliberalizował trochę cenzurę i pozwolił na pewną niezależność związków zawodowych, pewnie inaczej ułożyłyby się jego losy. Myśl można ciągnąć dalej, dobrze pokazał to Krzysztof Jerzewski[21]. „Realny socjalizm" jest reformowalny jak dotąd tylko do granicy wyznaczonej przez interesy nomenklatury, ale jest to granica nie całkiem sztywna. Każdy bunt społeczny, nawet przegrany, tę granicę przesuwa. Proces to bardziej oporny od biegu naszych nadziei, ale też nikt nie wie, jak będzie przebiegał w przyszłości w miarę słabnięcia systemu i rozmywania się jego nomenklaturowej bazy społecznej.

Koncepcja Walickiego może się więc jeszcze przydać, bo nie sposób wykluczyć nagłego opamiętania się kogoś, kto uparcie brnie ku przepaści. Ale na pewno nie przyda się jako jedyny program opozycji i nie znajdzie tam zastosowania za cenę wyrzeczenia się opozycyjności. Dziś, by reanimować zainteresowanie zmianami w partii i w strukturach władzy, nie wystarczą porozumiewawcze uśmiechy niegdysiejszych idoli (patrz M. F. Rakowski[22]), nie wystarczy dyskretne wskazywanie palcem na niebezpiecznych i żądnych krwi „twardzieli" (patrz zabójstwo księdza Popiełuszki). Dziś trzeba byłoby wielkiego, wręcz dramatycznego otwarcia, ryzykownego dla nomenklatury przyzwolenia na społeczną samorządność,

[20] Wojciech Jaruzelski (1923–2014) – działacz komunistyczny, generał armii. Pełnił wiele wysokich funkcji w PRL, m.in. premiera, przewodniczącego Rady Państwa. Od grudnia 1981 na czele Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.
[21] Spór o reformowalność, *Kontakt* nr 6, Paryż 1984 [przyp. red. Aneksu].
[22] Mieczysław Rakowski (1926–2008) – dziennikarz, polityk komunistyczny, premier PRL w latach 1988–1989, ostatni I sekretarz KC PZPR.

niekoniecznie zresztą pod firmą związku zawodowego. Tylko wielka śmiałość i wielkie ryzyko mogłyby przestawić polityczną zwrotnicę, uchronić system przed rozpadem, a Polskę przed okresem Wielkiej Nienawiści.

Ale jak dotąd nic a nic nie wskazuje, by ryzyko takie miało być podjęte.

Więc jeszcze krótko o pozostałych, już mniej ważnych zastrzeżeniach do proponowanej koncepcji. Jest ona wewnętrznie sprzeczna, co te na własnej skórze poznali partyjni „odnówcy". Jeśli opozycja wyrzeka się opozycyjności, by wejść do systemu, udzielić mu poparcia i wewnątrz niego manipulować na rzecz „lepszych", to wyrzeka się też możliwości formułowania programu jakiegokolwiek, bo gdzie ma go przedyskutować i opublikować? Na „czerwonej kanapie"? W kuluarach KC albo PRON?[23] Pozostaje więc chaos sprzecznych nieraz ze sobą, choć z dobrej woli płynących działań grupek i koterii, nasłuchiwanie poszeptywań, wieszanie się u klamek, bez oparcia we wspólnie przyjętym celu i systemie wartości. Gdyby ktoś usiłował — jak choćby Walicki — taki program sformułować i opublikować, postawiłby się natychmiast poza systemem, zostałby okrzyknięty wrogiem i opozycjonistą. A więc, aby manipulatorska i pokątna „opozycja wewnątrzsystemowa" mogła w ogóle istnieć i robić coś sensownego, musi funkcjonować opozycja pozasystemowa nieskrępowana więzami układów i cenzury.

Walicki zakłada, że władza „chce dobrze". Ale właśnie okres „Solidarności" pokazał, że tak nie jest. Przez kilka pierwszych miesięcy po podpisaniu Porozumień społeczeństwo oczekiwało, że właśnie partia wyjdzie choć z ograniczonym, ale własnym programem reform. Tymczasem partyjna „góra" potrafiła jedynie zwlekać, blokować tak samo „Solidarność", jak odnowicielskie parcie własnych „dołów". Dość wspomnieć sprawę samorządów pracowniczych, która wypłynęła właśnie w partii już wczesną jesienią 1980 roku, kiedy „Solidarność" wcale nie chciała o nich słyszeć. Sprawę samorządu wiejskiego. Cenzury. Rychłego zwołania zjazdu.

Liberałowie też nie są zjawiskiem stałym w partii, nie widać ich dziś, gdy na politycznych mogiłach ideowych rewizjonistów już dawno porosły gęste chaszcze. W tej partii pragmatycznych i strachliwych urzędasów liberałowie stają się widoczni dopiero w momentach kryzysów; jak dojrzałe śliwki spadają z drzewa dopiero wtedy, gdy nim ktoś mocno potrząśnie. Więc trzeba najpierw potrząsnąć, a potem dopiero ewentualnie popierać.

Gdy wybiera się strategię manipulacyjną, trzeba pamiętać, że najłatwiej zostać samemu wymanipulowanym. Po pierwsze, każdy „twardziel" uwielbia pokazywać, że jest pragmatycznym centrystą, a do tego celu jak ulał nadają się jeszcze gorsi albo głupsi towarzysze, których trzyma się specjalnie na tę okazję i czasem spuszcza z

[23] Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (PRON) – organizacja utworzona przez komunistów w stanie wojennym. Jej celem było zebranie stronnictw, środowisk i organizacji, które poparły władze komunistyczne oraz wprowadzenie stanu wojennego.

łańcucha. Po drugie, wdając się w uwiarygodnianie władzy, bardzo łatwo pozostać przy uwiarygodnianiu bez żadnych warunków i celów.

Dlatego też przestały i mnie interesować zmiany na szczytach mojej byłej partii, dlatego i ja przestałem wierzyć w „lepszych". Niestety. Większe mam zaufanie do tego, co na trwałe pozostaje po kolejnych „polskich miesiącach" mimo ich tragizmu. Dlatego, gdy dojdzie do następnego, nie będę już nawoływał do opamiętania i namawiał, by polubiono aktualnych liberałów. Wręcz przeciwnie.

Jeszcze o roli inteligencji wtedy i teraz. Walicki jest skłonny wyolbrzymiać tę rolę, podobnie jak propaganda rządowa. Władza ma swój interes w załamywaniu rąk nad demonizmem lub szaleństwem „inteligenckiej ekstremy", która „wykoleiła zdrowy trzon ruchu", ale profesor z dalekiej Canberry? Czy naprawdę trzeba mu tłumaczyć, że jakiekolwiek grupki inteligenckie, choćby i wpływowe nie są w stanie podrzucić swych teorii jak kukułcze jaja tak masowemu ruchowi? Najbardziej ekstremistyczną siłą w ostatnich miesiącach „Solidarności" byli sami robotnicy — zmęczeni, sfrustrowani, rozwścieczeni kunktatorstwem władzy, blokadą wszelkich pozytywnych zmian; to oni właśnie coraz częściej bredzili o wieszaniu. Ale może właśnie o to chodziło, żeby potem zrzucić na KOR-owców.

Co innego z tłumieniem krytyki w „solidarnościowych" środkach przekazu, na co te skarży się Walicki. Prasa związkowa redagowana była przez grupy aspirujące do roli intelektualnej czołówki ruchu i je właśnie obciąża zarzut braku mądrego krytycyzmu. Zarzut poważny, bo każdy ruch schodzi na manowce, gdy zabraknie mu rzetelnej dyskusji i krytycznych umysłów. Tu jestem z Walickim w zgodzie. Ale nie jest prawdziwym stwierdzenie (też znane z interpretacji oficjalnych), iż były to bez reszty grupy chwalcze, na klęczkach wobec ruchu, podbijające mu bębenek. Wystarczy zapoznać się z historią pierwszego w Małopolsce pisma „Solidarności", jakim były współredagowane przeze mnie *Wiadomości Krakowskie*, reprezentujące właśnie ów nurt krytyczny. Wszystko zaczęło się pięknie i słodko, ale ostatnie numery już w drugiej połowie 1981 roku musieliśmy wydawać w tajemnicy przed Sekcją Informacji Zarządu Regionu. Za artykuł pod znamiennym tytułem „Co mi się nie podoba w «Solidarności»?" podziękowano mi listem otwartym Komisji Zakładowej przy tym Zarządzie (coś jakby list otwarty POP przy KW PZPR) protestującym przeciw kreciej robocie Surdykowskiego, tej wtyczki partyjno-ubeckiej.

Historia *Tygodnika Solidarność* te budzi pod tym względem niewesołe refleksje. Dysponuję paroma krytycznymi tekstami, które były w tym tygodniku zdejmowane bynajmniej nie przez cenzora. Ówczesny zastępca redaktora naczelnego, Waldemar Kuczyński, coś o tym wie, bo zdaje się, że sprzyjał takim jak ja.

Nieprawdą jest więc, by z powodu – jak pisze Walicki – „chronicznego braku u nas odwagi cywilnej" nie było prób krytycznego i niezależnego spojrzenia na „Solidarność", tak potrzebnego każdemu ruchowi. Ale alergia tego ruchu na wszelką

krytykę i na niezawisłych sojuszników wzięła się nie tylko z totalitarnego dziedzictwa obciążającego nas wszystkich, lecz także z reakcji na blokującą ten ruch postawę władz.

Co więc ma robić polski intelektualista dziś i tutaj, po tych wszystkich gorzkich i frustrujących doświadczeniach przeszłości, wobec marnych a nawet tragicznych perspektyw nadciągającego jutra? Winien schować głęboko urazy i kompleksy, pożegnać się z ulubionymi mitami, przemyśleć własne i cudze błędy, i po prostu SŁUŻYĆ. Jest to bliskie tak postponowanej ostatnio idei pracy organicznej, ale nie musi odbywać się tylko w instytucjach i strukturach oficjalnych, choć dla wielu – wedle możliwości i temperamentu – i tam znajdzie się miejsce. Nowy „polski miesiąc", jaki przy dzisiejszym biegu wydarzeń nieuchronnie przyjdzie, powinien zastać nas choć trochę mądrzejszymi i lepiej przygotowanymi.

A opozycja? Będzie oczywiście istnieć mając się raz lepiej, raz gorzej, a nieraz bardzo źle. Tylko powinna sobie powiedzieć, że u kresu tej strasznej drogi bynajmniej nie musi czekać na nią niebo Wolnej Polski, a w nim zasłużone ordery. Więcej, trzeba przygotować się na to, że nieprzewidywany bieg wydarzeń zakwestionuje naszą dzisiejszą postawę, sprawi, że racja znajdzie się gdzie indziej, a przynajmniej będzie podzielona. Niczego nie wolno wykluczać, ani katastrofy, ani jakiegoś opamiętania się moskiewskiego bądź warszawskiego centrum w pół drogi przed przepaścią. Poprawę polskiego losu przynieść może bardzo wiele programów i wiele dróg. U początku pierwszej wojny światowej wcale nie było powiedziane, że sukces przyniesie program Piłsudskiego, inny bieg zdarzeń wyniósłby do miary narodowej mądrości program Rady Regencyjnej, Narodowej Demokracji, a może i komunistów? Tak i teraz. Okazać się mogą pożyteczni zarówno skrajni niepodległościowcy, jak i „konstruktywni kolaboranci" usiłujący uprawiać jakąś działeczkę nawet i w PRON. Dlatego Polsce potrzebna jest mądra, niesekciarska, tolerancyjna opozycja otwarta na wszystko, co nie jest Targowicą i na wszystkich, którzy nie zatracili sumienia. Opozycja, która byłaby nie tylko gestem linoskoczka nad przepaścią, nie tylko porywem gorącego serca, ale także wolą chłodnego umysłu. Która potrafiłaby ze zrozumieniem proponować cel także „konstruktywnym kolaborantom". I to jest chyba jedyny sensowny wniosek, jaki można wyprowadzić z propozycji Andrzeja Walickiego.

Niestety, nie wszystko świadczy za tym, że opozycja potrafiłaby tak postawionemu zadaniu podołać. O wiele łatwiej jest popaść w opozycyjną *splendid isolation*, przekonywać już przekonanych, bić pianę we własnym gronie, z pogardą myśleć o tych, którzy paktują z „czerwonym szatanem". Historia wszelkich ruchów niejawnych, z XIX-wiecznym socjalizmem włącznie, pokazuje, jak straszliwe i niszczące jest to niebezpieczeństwo, ta pokusa. Dlatego każde wyjście z opozycyjnego grajdołka, każda konfrontacja z innym myśleniem i z inną wizją drogi do Polski może być cenna. Nawet jeśli nie znajdzie się w niej recepty, lecz nową okazję do przemyślenia starych pytań.

ECS
europejskie
centrum
solidarności